

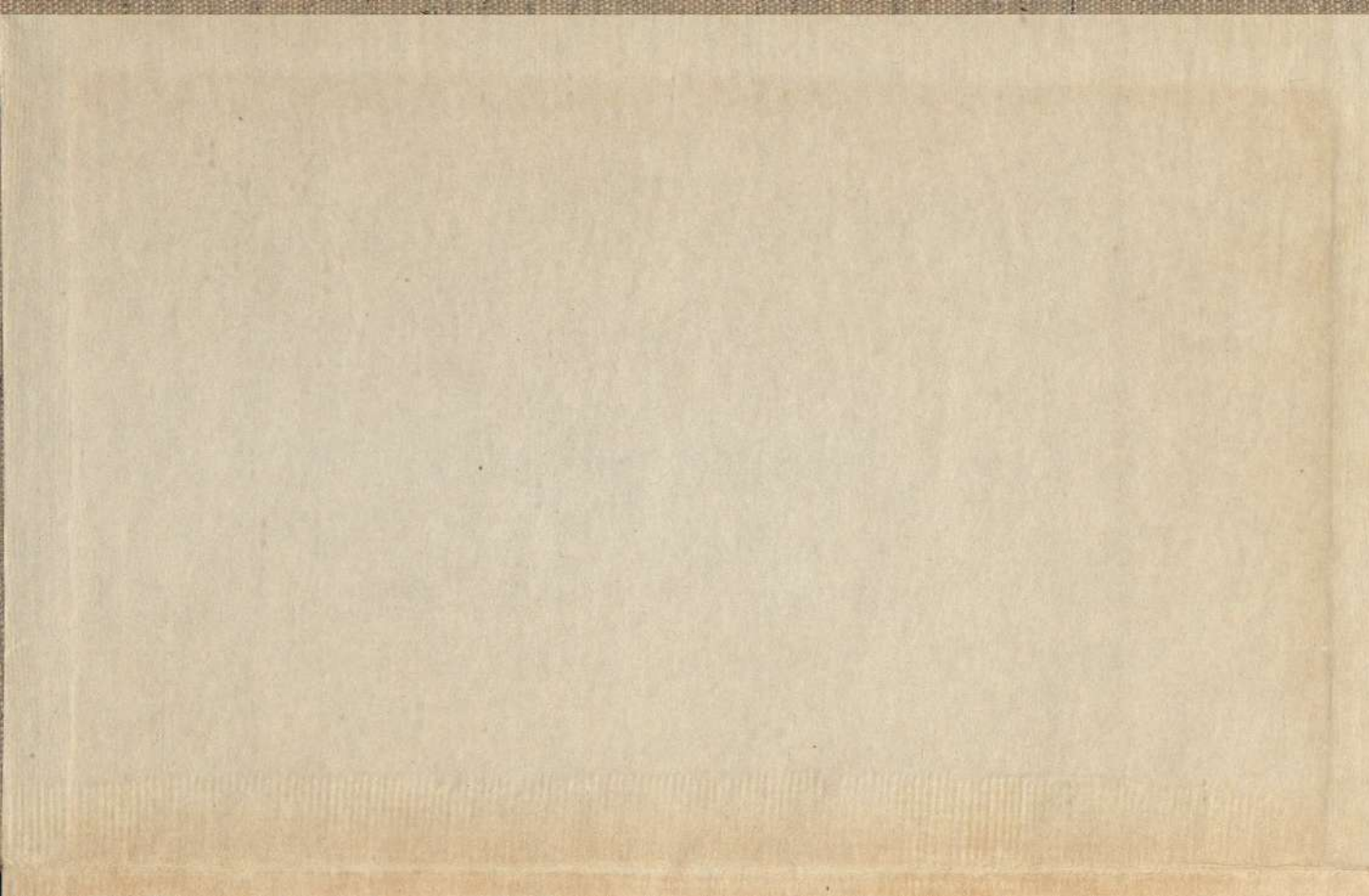


Ewa Szelburg-Zarembina

DZIEŁA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE







EWA SZELBURG-ZAREMBINA

DZIEŁA

1.807.609

Ewa Szelburg-Zarembina

DZIEŁA

* 4 *

WYDAWNICTWO LUBELSKIE





EWA SZELBURG-ZAREMBINA

DZIEŁA

* TOM CZWARTY *

STANISŁAW

WYDAWSTWO
WYDAWAŁA I DZIAŁAŁA
PRACY PISARZEI
AUTOREI



WYDAWSTWO DZIEŁA

Ewa Szelburg-Zarembina

D Z I E Ł A

* *tom czwarty* *

DWUNASTOTOMOWA EDYCJA
WYDANA Z OKAZJI 50-LECIA
PRACY PISARSKIEJ
AUTORKI



WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Ewa Szelburg-Zarembina

D Z I E Ł A

ECCE HOMO

*

SYGNAŁY

*

MATKA I SYN

*

SAMOTNOŚĆ



WYDAWNICTWO LUBELSKIE

MATKA i SYN

МАТКА І СЫН

Mówimy:

Bona Narodzina
Pamięć do narodzin
A to Ona była na roku w Krakowie
właśnie od chwili powstania
na jej imię
Lito była imieniem wyjątkowe
w swego czasu

Mówimy:

Wielki Fest
przed Włocławkiem
A to Ona była tam w Warszawie
właśnie w tym czasie
do Wielkiego Synu

Mówimy:

Włocławek
A to Ona była tam w Warszawie
właśnie w tym czasie
do Wielkiego Synu

PAMIĘCI DZIECKA
zamordowanego w dniu 9 IX 1939 r.
we Lwowie przy ulicy Sykstuskiej
podczas hitlerowskiego nalotu

WYKŁADY
Z HISTORII
POLSKI
W LATACH 1918-1939
WYD. 1945

TO ONA

Mówimy:

Boże Narodzenie.
Dziecię się narodziło.
A to Ona rodzi co roku w boleściach.
wiedząc od chwili poczęcia,
na jakie męki
i na jaką śmierć wydaje Syna
ze swego łona.

Mówimy:

Wielki Post
przed Wielkanocą.
A to Ona przez dni czterdzieści
i czterdzieści nocy gotuje się
do Męki Syna.

Mówimy:

Ukrzyżowanie.
A to Jej serce krzyżują,
bez gestu łaski dla skazańca —
bez znieczulającego napoju
z żółci, octu i mirry.

Mówimy:

Złożenie do grobu.

A to Ona,
gdy Jego Ciało już nie cierpi więcej
i w śmierci
spoczywa,
ciałem i duszą cierpieć
nie przestaje.

Mówimy:

Zmartwychwstanie.

A Ona, u pustego grobu klęcząc,
zarysy fałd
w płótnie całunu zostawione gładzi
i śpiewa kołysankę:
Lulajże, lulaj!...

Mówimy:

Wniebowstąpienie.

A to Ona upada obarczona
pamięcią o Narodzeniu
o Męce, o Ukrzyżowaniu,
o Złożeniu w grobie.

Mówimy:

Wniebowzięcie.

A Ona z nieba zstępuje,
żeby już ostatecznie
zostać na ziemi.

OWEGO WIECZORA

W betlejemskich domach
białymi obrusami
stoły nakryte do wieczerzy.

Na stołach
stoi siedem świec w świeczniku
i biała bułka leży.

Na łózkach pościel świeża,
czysto powleczonea.

Miednice
ciepłą wodą po wręby nalane.

Ale
drzwi tych domów
szczelnie na zasuwę,
na klucze
pozamykane.

Nie stukaj próżno, Józefie.
Chodźmy

od tych niegościnnych
mieszkań ludzkich
za miasto,
do skalnej stajenki.

Tam
prześpi tę noc
nasz maleńki.

Owieczko
z ciepłutkim, mięciutkim runem,
lagodna

milcząca owieczko,
podejdź tu do nas blisko,
jeszcze bliżej,
aż do twardych
desek żłobka.

Ogrzej nam sobą dziecko.

A dziecko leży nie w puchu —
na zmierzwionym, szorstkim
leży sianie.

Miedzy posłaniami
dwu pracowitych zwierząt,
wołu i osła,
jest jego, trzecie, posłanie.

Wole siwy,
olbrzymie silny
o płucach jak kowalskie miechy,
o nozdrzach ruchliwych, szorstkich,
tchnij tchem ciepłym
na dziecko.
Spowij je
w twego oddechu gorące obłoki!

Osiółku,
ze wszystkich istot najskromniejszy,
przez głupców niesprawiedliwie
wykpiony,
pochyl nad dzieckiem
mięciutkie długie — długie uszy:
dziecko uśmiechnie się czule
i włoży ci na nie
korony,
które przynieśli mu w darze
trzej mędrcy:
Trzy Króle.

Osiół własnym uszom
nie wierzy...
Wół ryczy z zachwytu
i radości.
Owieczka przywołała jagnię:

— Dam tobie ssać
i dziecku,
które, jak ty,
ciepłego mleka pragnie.

Stajnia pełna światłości.

UCIECZKA DO EGIPTU

Jeszcze nie dziś.

Jest jeszcze czas.

Jutro.

Z samego rana...

Ktoś — kto? — był tu.

Uprzedził — kto? — Józefa.

Mąż rzekł mi:

„Żono kochana,

śmierć wyjdzie jutro na miasto.

Biada karmiącym niewiastom!

Od piersi niemowlęta oderwie

im śmierć,

jak od suki szczenięta

odrywa ręka człowieka.

Ale jest rozkaz Boży,

ażebyś, dawszy życie, ustrzegła je

przed oną

śmiercią jutrzejszą.

Żono,

chłodne godziny o świcie:

owiń dziecko w runo jagnięce,

zanim je weźmiesz na ręce.

Sama osłoń się całą chustą

i młodej nie pokazuj twarzy.

Człek stary przeprowadzę cię,

siedzącą na osle,
bezpiecznie mimo miejskich straży”.

Przyszeli ten świt.
Pod zasłoną staruchy
obok starego męża
matka młoda

z jagnięciem-niemowlęciem
przy piersi,

szczęśliwa,
uciekłam!

Nie od króla Heroda
uciekłam

z przerażenia półżywa —
— od Boga!

Trwoga

we mnie wołała:

„Zostaw mnie, Boże, w spokoju

z moim dzieckiem ze krwi i z ciała!

Raz bądźże ludzki przecie:

uwolnij nas od siebie,

mnie i moje dziecię!

Moje dziecko

niech żyje

albo niech umiera

jak ludzie całego świata

nie wiedząc dnia ni godziny.

Straszna to Twoja zapłata

za moją miłość dziewczą —

ten krzyż

i męka Syna

w porze,

którą Tyś naprzód obliczył

i ustalil,

Boże!

Ojczy — Boże”.

Bezpieczna
pod drzewem figowym,
które na obcej ziemi
mnie ocienia,
pasę słuch
płaczem matek betlejemskich
nad niemowlętami
mieczem pobitymi
ja jedna bez łez,
niema.

Ja —

matka szczęśliwa,
lecz nie tym, że dziecina moja
przy mnie, żywa.
Szczęście moje,
to bolesne szczęście,
nie w tym spoczywa,
że umknął dzisiejszej obieży
syn mój,
Syn Boży,
który przecież,
dorósłszy do pełni lat męskich,
swoje życie
za świata zbawienie położy.
Choć matka Boga,
z ludzi jestem,
ludzkim sprawom bardziej
niż Boskim
bliska.
Krew, co z niewinnych
dziecinnych
ciał
wytryska,
ma pierwszeństwo Ofiary.
I w tym jest

prawda ziemi
sroga:
nim Bóg,
zstąpiwszy z nieba,
umarłeś za ludzi —
ludzkie dzieci
umarły za Ciebie,
Boga.
Wiem,
mówi Pismo, prorocy:
„Syn Boży zawisnie na krzyżu”.
Wiem.
Wszystkie matki
będziemy stać tam w pobliżu.
Lecz płakać będę ja jedna,
Maryja,
matka bolesna Boga? ludzi?
czyja?

ZIARENKO PIASKU

Dziś rano
przy cysternie,
gdzie dzbany napelniamy wodą,
spotkałam między kobietami
matkę,
jak ja młodą,
z dzieckiem.
Dziecina
zapewne w wieku mego syna.
Pozdrowiłam tę kobietę pierwsza.

Czy nie dlatego,
że syn jej

mniej jest udany od mego?
Ani tak silny,
ani tak piękny na oko.
Mą dumę w sercu skrywałam głęboko,
lecz matka zwieść się nie da,
gdy chodzi o jej małe.
Ta powiedziała, odgadłszy:
Nie jest, jak twój, urodziwe,
ale jest moje, całe moje!
I długo jeszcze będzie żywe,
gdy ja już spocznę w grobie.
Nie, nie, Maryjo,
ja nie zazdroszczę,
ale współczuję tobie,
któraś
 błogosławiona
 pomiedzy niewiastami
siedmiu mieczy ostrzami,
 jakie w twe serce
wbije
 dłoń Boga wszechmogąca!
Rzekłszy to,
 dzbanem potrąca
 wodę
 w kamieniach zwartą.
A napełniwszy,
stawia nad czołem dzban
i, ręką drugą
garnąc dziecię do biodra,
odchodzi spowinięta w chusty.

Odeszłam i ja
 na nogach chwiejnych.
Wody chlusty
spływały mi na twarz falami.

To dzban,
przed chwilą pusty
(kiedyż to napeliłam go?),
tańczy na mej czaszce,
jak tańczy cały Nazaret
w mych oczach
zalanych wodą i łzami.

O!

jakżem łatwo była zapomniała,
patrzac na Owoc mego ciała,
o drzewie krzyża,
które się wciąż przybliża:
od pierwszego dziecięcego oddechu,
od pierwszego dziecięcego uśmiechu,
od pierwszej kropli mleka
wessanej przez niemowlące wargi,
od pierwszej dziecięcej skargi,
od pierwszego samodzielnego kroku,
od pierwszego wyraźnego słowa,
rozumnego wzroku...

O!

jeszczem dziś zapomnieć gotowa,
że Syn mój — nie mój!
Że go woła Jego Ojca wydała
na śmierć.
A ta — moją wyprzedzi!
Że to ja będę śledzić,
jak stygną i martwieją dłonie,
które

zgodnie z naturą rzeczy
powinny matce do snu skronie
w trumnie ułożyć.
Któż widział, żeby dziecko...

...żeby... dziecko wprzódzi!

„Błogosławionaś
między niewiastami”.

Promieniałam.

A to znaczyło:

„najnieszczęśliwsza z ludzi”.

A jednak,

jednak Twoich siedem mieczów,

Boże,

w sercu mym

sprawić nie może,

ażebym nie zadrżała

dziś

na sam widok stopki dziecka,

gdy wypieszczona, mała

o kamyk trąca,

wrażliwa.

...Jak się ta miłość nazywa,

która tym bardziej się trwoży,

im mniejszy ma powód do trwogi?

Uważnie stąpaj, syneczku.

A kowal już gwóźdź srogi

ukuł dla przebicia stopy,

skąd strumień krwi

tryśnie na drewno.

Uważnie stąpaj, syneczku.

Ziarenko piasku

na pewno

urazi stopkę twą małą.

Szczęśliwa

klęklam,

by zdmuchnąć to ziarnko.

Dziecko się śmiało.

GODY W KANIE

Dziewczyna
jest jak migdał jędrna,
świeża.

Przyglądam się dziewczynie:
pod namaszczoną chłodną skórą
mleko we krwi jej płynie,
tak biała
i tak słodka oczom.

Drużbami, patrz, otoczon
młodzieńczy oblubieniec
piękną stanowi parę
dla dziewczyny.
Sądząc z miny obydwu ojców
oraz matek,
szczęśliwe szczęściem dziątek
obie rodziny
dziś złączone.

Wybacz,
czasami...

Wybacz,
myślę...
tobie żonę.

Wiem, że nie powinnam,
myślę...
dzieci.

Mijają lata.
Czas przeleci
unoszący nadzieję,
która wcześniej umiera,
bo to nie Czas jest Owo,
co mnie, matkę,

odziera
z mego ludzkiego szczęścia:
zwykłej wnucząt pieszczoty.

Strwożona,
jak ze snu,
budzę się z takich myśli.

Myśmy tu dzisiaj przyszli
na te weselne gody
cudze szczęście oglądać,
cudzym, ludzkim, się cieszyć
po sąsiedzku.

Mój młody Synu,
pozwól starej gaworzyć.
Rozgadała się matka,
jak to bywa,
gdy dziecku
rada nieba przychylić!
NIEBA?

Słowo okropne.
Musiałam się omylić!
Nie słyszałeś, wszak prawda?
Nie słyszałeś, Syneczku,
tego słowa.

O kochany!
O drogi!
Ja Ci ZIEMIĘ
pod nogi
podścieliłam.
W Betlejem
siano było we żłobie
i kozuszek jagnięcy.

Twoje warzki dziecięce
piersi mojej szukały.
Ze mnie pokarm czerpałeś.
Dwoje byliśmy jednym.

Grota.

Trzoda.

My.

Sami.

A to niebo ogromne
i Ten, co w nim króluje,
czy był z nami?

Nie pomnę.

Małe ciało bezbronne
cieple, pachnące mlekiem
— tak cię czułam
jak siebie:
człowiekiem.

Milczysz.

Zamilknę i ja.

Prawda, że ludzka mowa
niezdolna jest wyrazić nic z tego,
co w słowach się nie mieści:
Chyba... że krzyk bóleści!

Już milczę.

Za chwilę

uśmiechnę się,

by dalej uśmiechać się mile.

Bądź spokojny!

Do kogo ja mówię?!

Nie patrzysz w tę stronę.

Oczy cały czas trzymasz odwrócone

ode mnie
i od stołu,
od miasteczka Kany.
Dokąd wzrok swój posyłasz?
Och, spojrzuj, kochany,
na tych ludzi zebranych tu,
na weselników.
To nieczęsto się zdarza
święto takiej miary,
że młódź godnie dojrzewa,
a młodnieje stary
po paru łykach wina.

Ty nie wiesz,
że w weselnym
jak to tutaj
winie
skroplone złoto szczęścia
biednym w żyły płynie
i serca czyni lekkie
wśród odmętów troski.
Napój tłoczony z jagód
ma wargom smak boski.
Niechże go piją
za zdrowie:
państwa młodych,
rodziny
i miasteczka Kany!
Postukują dzbany.
I my, Synu, my także
z pełna się napijemy.
Ten raz jeszcze,
ze sobą, z ludźmi, ciesząc się,
żyjmy.
Zrób to dla Twojej matki,

podnieś kubek, proszę.
Niewysoko,
nie.

Tyle, co ja go podnoszę.
Czy służba opieszała,
czy przełożony godów
nie dbał jak należy?
Wszakże kubek niepełny...
Wszystkie kubki dnem świecą.
Nie dziwo,
tyła gości,

co uczcić dom ten
chcieli
wedle pocziwości.
A że dom niebogaty,
to mimo szczerej chęci
szczodrych gospodarzy
musiał się ani chybi
jakiś brak przydarzyć.

Coś jak popłoch
u stołu, kędy siedzą ojcowie,
bo ich na bok ktoś woła
i powiada na ucho

tę nowinę niemiłą:
„Dzbany puste.
Nie dolewamy gościom.
Nie starczyło”.

Nikt z biesiadników tego nie usłyszał.
Ja słów treść po wargach poznałam,
bo ja, Synu,
bardziej się tu związałam
niż gość.

Mówiąc przeto:

„Wina nie mają”.

A Ty w odpowiedzi:

„Co mnie i tobie, kobieto.

Jeszcze nie przyszła moja godzina”.

Takeś mi odrzekł.

...Wybacz, że Cię rozumiem.

(Nie rozumiałabym syna?)

Tak, Synu,

nie będę ja jako drudzy.

Wiem, czego inni nie wiedzą.

Zawsze o Tobie wiedziałam.

I oto... skinę ręką,

by podeszli słudzy.

A gdy Ty milczysz

(tym razem oczu nie spuszczaając ze mnie),

ja sługom powiedziałam:

„Cokolwiek wam rzecze, czyńcie”.

Nie było to daremnie,

gdyż teraz rzekłeś ty sługom:

„Stągwie pod ścianą stojące

napełnijcie wodą”.

A stało ich, kamiennych, sześć,

równą modą

biorących w siebie

każda dwa albo trzy wiadra.

Napełnili do wrębów.

Złota poświata padła

na przejrzystą powierzchnię

chełbiącego płynu.

A Ty, Synu,

uśmiechnąłeś się

uśmiechem mnie nieznanym.

„Czerpajcie teraz,

a donieście przełożonemu.”
Patrzyłam, gdy stanęli
przed przełożonym.
Kosztował wody,
która winem się stała.
Twarz uciechą i zdziwieniem mu drżała
Przyzywał oblubieńca
od boku oblubienicy, już żony,
i mówił doń:
„Wielcem jest zadziwiony.
Nie pomnę wesela jako dzisiejsze:
wszelki człowiek
kładzie pierwszej dobre wino.
A kiedy się napiją,
wtedy — podlejsze.
A tyś dobre zachował
do tego czasu”.

Nie wiem,
co odrzekł młody
pośród hałasu.
Nie wiem,
bo mnie w tej samej chwili
ostrzem obosiecznego miecza
pamięć przebodła
własnych słów moich ongiś
wyszeptanych:

„Jestem ja, służebnica,
Pana mego godna?”

Lecz teraz, tutaj, Tyżeś, Panie mój
i Boże,
synowskie ramiona ku mnie
otworzył
i słyszałam głos Twój,
jak własny mój głos słyszę:

„Niech się w twym sercu, matko,
pierwszy mój cud zapisze,
jako jest uczyniony
z człowieczej mojej miłości
i z mojej Boskiej mocy
dla dwojga młodych
na progu
ich nocy małżeńskiej
podczas godów w Kanie Galilejskiej”.

Twój pierwszy cud, Jezusie.
...Dwie łyżki mi wpadły do kubka.
To one smak piolunu
dały temu winu.
Moje łyżki.
Synu, o wróć mi się!
Synu!

ROZMOWA Z MARTĄ

Tak, moja droga.
To się nie zmienia.
Przez pokolenia trwa.
Od rana do nocy na nogach
i jeszcze zawsze jest coś do zrobienia.
Tak.
Równy ze słońcem.
Ono daje znak.

Pory posiłku?
W tym rzecz ma się,
iżby w jednakim zawsze były czasie,
a przecież tak miarkowane,
by kiedykolwiek przyjdzie,
i zawoła,

do gotowego mógł zasiadać stół,
umywszy ręce.

Czekać — nam, nie Jemu.

Zawsze tak będzie, Marto,
po staremu.

Nakrywasz czystym płótnem stół.

Tak i ja czynię, Marto.

I ja mąkę na chleby

zaczepuję kwartą ze skrzyni,

która i u mnie stoi na przewiewie,

aby zawartość zawsze sypka była,

nie zatechnięta.

...Marto miła,

czyż nie wiedziałaś?

Młoda i jak ty dobra gospodyni

nawet gdy nie wie, „dlaczego”?

wie, „jak” to czynić.

...Ale co z tego?

Nie ludź się, Marto.

Czy nie mówiłaś mi, że...

Lub może nie,

ty nie mówiłaś nic.

To tylko ja. W myśli.

Co mówisz teraz?

...że gdy wczora przyszli

tu, do Betanii,

a znużeni srodze,

chciałaś,

iżby odpoczął był

po zmudnej drodze Syn mój

i towarzysze Jego.

Tedy ich w dom prosiłaś,

jak ty umiesz, szczerze.
A że zgłodniiali,
 więc i na wieczerzę.
Choć nieobecna między,
wiem, jak się odbyło:
Usiadł
na podsunętej przez Łazarza ławie,
a co żyło,
 stało wpatrzone w Niego.
On spoczywa
 w cieniu,
z rękami na kolanach,
z głową ku ramieniu
 lekko sklonioną.
...Aliści
 znad kolana dłoń uniósł
 nieznacznie.
Nie dłoń — palców końce.
I był ten ruch wzwyż,
 drobny,
jak przed armią gońce
 biegnący z ostrzeżeniem,
że bitwa się zacznie.
Skupili się wszyscy.
Głosem jak szmer liści,
wróżący orzeźwienie w południową
 spiekę,
przemówił.
Nie do rzeszy.
Nie było tu rzeszy.
Była garstka domowych: wy.
Was chciał ucieszyć,
swoją ogromną Prawdę
 przełamując z wami
jak chleb

z uwięzniętymi w cieście wąglikami
żaru.

Nie, Marto.

Ja nie mam zamiaru
dotknąć cię tym, co rzekę,
alem chyba zgadła?

To Maria

pośpieszywszy
u nóg Jego siadła,
oczami pijąc słowa,
jak piach pije wodę.
(Lekkomyślne stworzenie,
takie jeszcze młode!)

Ty — przeciwnie,
odeszłaś w głąb domu
skwapliwa,
z cicha wzywając siostrę.
Nie rozumiała, jako ją przyzywasz.

Ty, ty wiedziałaś, Marto,
że czasu marnować nie warto.

Gdy rzadki gość zawita,
uczcić gościa trzeba tak,

by odczuł przecie,
jak bardzo go cenimy,
iż w progi wstąpił nasze,

a my

nie lenimy

z ugoszczeniem

i szczodrym:

„Czym chata”...

...owoce, jarzyny,

mięsa kruche pieczone.

Pod to wszystko obrusy.

(Czy aby są czyste?

I gdzie je położyła Maria
przyniósłszy od prania?)

„Siostro!”

Lecz nie oderwiesz, Marto,
Marii od słuchania.

Ty, Marto,
siostrze matkę zmarłą zastępujesz.

Ty, Marto,
wiele starszą od Marii się czujesz,
choć różnica niewielka w leciech.

Tobie się nie zdarza
zapomnieć obowiązków
gospodarza zarazem

i sługi,
boć brata Łazarza
nie stać na najemników.

A Maria...

Właśnie czas ten wydał ci się długi,
gdy ona
tam

bez ruchu siedziała na ziemi
(u nóg Gościa)

z rękami słabo splecionymi,
obca twej krzątaninie
przy kuchennym kominie,
gdzie się udziec koźlęcia piekł
natarty zielem.

Jeszcze ci, Marto,
serce wciąż drgało weselem:
że się starasz tak dobrze,
tak dbasz,
tak szykujesz,
więc gość twoje staranie,

twą dbałość
wyczuje
i pochlebi mu
twoja gospodarska cnota,
i pochwali cię za nią,
że „ręce ze złota”,
że „głowa, co o wszystko
tak troska się mile”.

Prawda?

Takeś myślała.

No i za chwilę
pobiegłaś tam, do izby,
gdzie był.
I gdzie ona, bezczyinnie wciąż,
siedziała.

Widokiem wzburzona,
lecz nad głosem panując,
jak mogłaś najlepiej,
rzekłaś,

wpadając w mowę Mu...

Nie gniew cię zaślepił,
lecz poczucie słuszności.

Biedna Marto,
owa słuszność nasza
jest tym,
co mnie najbardziej z wszystkiego
przestrasza

jak oręż obrócony przeciw!
Przeciw nam, ma miła.
Mogęć powtórzyć słowa,
w jakich się zwróciłaś.

Teć są:
„Panie,

nie dbasz,
iż mnie siostra moja opuściła
i posługuję sama.
Nakaż tedy, a iżby mi pomogła”.
Odpowiadając rzekł ci:
„Marto...”

Tyżeś to była — czy ja
w miejsce ciebie?
Ten głos, który mną całą
jako żdźbłem kolebie!
Dobrzeż ja, matka Pana mego,
słyszę?

O, bodajem ogłuchła pierwej!
Albo z grobu ciszę...!
Bo rzekł był: „Matko”.

„Matko, matko — rzekł —
troszczysz się i frasujesz
około bardzo wiele,
ale jednego trzeba.”

Boże z nieba!

Matka,

jak nie miałam się troszczyć
i jak nie frasować
od dnia, gdy urodziłam Go?
I przez te wszystkie lata,
gdy, dorósłszy,
odchodził do ludzi,
do świata.

A przecież wracał!

Jeszcze wracał do mnie.

Karmiłam, odziewałam.

Prawda, bardzo skromnie.

Nawet biednie.

Bo biedniśmy z Józefem.

A Józef, choć stary,
przecie nie kładł ciesielce
wedle wieku miary, pracując.

A ja, matka?

Ręce mam urobione, jak mówią,
do łokci.

Zwyczajnie — ręce matki.

Nieraz spod paznokci

krew tryska.

Zwykłe rzeczy.

Twe imię, Synu,
nawet przez sen wołam.
I na jawie
pomyśleć o niczym nie zdołam,
co nie związane z Tobą,
z potrzebami

Twego ciała, dziecko,
z głodem, z chłodem.

Ach, mogą dręczyć Cię zdradziecko,
jeśli bym nie zadbała.

Więc czemu, mój Synu,
ganić matce jej proste

o Ciebie staranie?

Co znaczą twarde Twoje słowa,

Panie?

Gdy, o ścianę Łazarza izby cichej
wsparty,

rzekłeś mi,
ukazując Marię,
siostrę Marty (moją?),
u nóg Twoich siedzącą bez troski

i znoju,
z uśmiechem

szczęśliwości pełnego spokoju:
(te słowa odtąd poszły za mną
wszędzie!)

Że „obrała najlepszą częśćkę,
która od niej odjęta nie będzie”.

Jużes Ty się był odjął
mej matczynej trosce
i zapobiegliwości
(boć te są dwa imiona codziennej
miłości),

a czyliś widział
matki, o dom, o dzieci swe się nie
troszczące?

Czyś widział — powiedz! —
nie grzejące, nie świecące słońce?
Ty, Marto, płaczesz?
Nade mną płacz, Marto.
Iście dola sroga
urodzić człowieka,
by być
matką Boga.

JEGO MATKA

Gdy dzieckiem był,
chodziliśmy we dwoje.
Podnosił ku mnie główkę
szukając w moich oczach
potwierdzenia drogi,
i choć miał rące jak jelonek
nogi,
trzymał się ręki mojej.
Gdy podrośł,

znalazł towarzyszy
u nas, nad Galilejskim jeziorem.
Ci byli rybakami.

Spotykaliśmy ich wieczorem
wypływających w łodzi
na połów całonocny.

Weseli byli
i młodzi.

A On, prócz że wesół i młody,
był im także pomocny.

Bo po ciesielskiej robocie
(przy której się nie lenił)
wiele Mu sił zostawało
dla

wody,
wiatru,
przestrzeni!

Te siły z siebie dobywał,
gdy na jezioro wypływał,
mnie pożegnawszy na brzegu.
Patrzyłam z brzegu na wodę
żywiącą ryb plemiona.

Myślałam uśmiechniona,
że ten żywioł tak czysty i chłodny
zachowa mi Go na długo,
że Syn mój żyć będzie swobodny
od innych węzłów

prócz tego,
który ja zawściagnęłam
na sercu moim i Jego.

Byliśmy dwoje razem.

Długo byliśmy.

Długo, choć krótko w czasie.

Wspomnieniem godów w Kanie
głodne me serce się pasie,
jako że po onych godach,
gdy do Kafarnaum wstępował,
wziął był mnie z sobą w drogę.

Jeszcze parę dni
wspólnie z Nim przebywała.
Jeszcze mnie, matki, potrzebował.
...A może
już tylko się litował
starej kobiety,
która niegdyś
piersi młodych karmiła Go mlekiem,
gdy niemowlęciem był...
Bo był niemowlęciem jak inne!
I jest — człowiekiem!
I ludzki los
oboju nam się godzi.
Czyż każdy syn, dorósłszy,
od matki nie odchodzi,
ażebym wstąpił w swój wiek męski,
w początek matczynej klęski?
Ten dzień,
godzina,
chwila ta...
Czy to naprawdę ja,
która weszła z rana, sama,
w nieznane sobie miasto?
„Kogo tu szukasz niewiasto?”
Pył drogi przyłgnał mi do ciała
i z wolna teraz z szat opadał,
gdym tak przed obcym domem stała,
chcąc mówić z Synem,
który był wewnątrz domu tego

z uczniami swymi
oraz rzeszą.
Ktoś, kto miał dobre serce
i widział mnie,
pośpieszył
donieść Synowi:
„Przed domem matka czeka”.

Nie zwlekał
z odpowiedzią Syn,
wyciągnął prawicę na ucnie swoje
i rzekł:
„Oto jest matka moja”.

Spoglądam
na mą zwisłą, pustą rękę,
z której wysunął swą dłoń
stanowczo
i tak ostatecznie.
...Bezpieczniej
byłoby mi nie wiedzieć,
że taki dzień zaświta,
gdy Jego dłoń martwa, przebita,
znów w mojej spocznie ręce.

Stoję przed obcym domem,
nie otrzymując ni słowa
ze słów
do rzeszy mówionych
tak wielu.

To zwiastowałeś mi był
w Nazarecie,
aniele Gabryelu?

ALABASTER OLEJKU

Gdy pograżam się we śnie,
głos kołatki słyszę:
ręka trędowatego
szarpie sen i ciszę!

Budzę się
mówiąca echem snu w sercu moim:
— Już ciebie był uzdrowił, Szymonie,
Nauczyciel dla wiary twojej.
Czysty, bez strasznych śladów,
przywrócony ludzkiej społeczności,
nowych przyjaciół zdobyłeś.
I oto dziś ich gościsz.
Pośród ogólnej radości
i Nauczyciel za stół z tobą siada.
Już rozpoczęta jest
skromna biesiada,
gdy niewiasta
z opinii złej w mieście znana
podchodzi wprost do Jezusa
i, ugiąwszy kolana,
dobywa z fałdów szaty
ukryty na piersiach alabastrowo białych
mały

flakonik z alabastru,
naczyńko drogocenne,
drogocенnością napelnione —
i tłucze je,
i wonny olejek zeń wylewa
na nogi Jezusowe,
na Jezusową głowę,
na włosy Jego,
po czole, po ramionach roztoczone
w lekką, gładką koronę.

Olejek spikanardowy był
drogi z najdroższych,
Wartość sprzedażną
 (rzecz ważna!)
 obliczono
(przy stole, w społecznym pośpiechu)
na srebrnych groszy trzysta,
 mało mniej.

Gdy ten niezwykły zapach,
zapach perfumy,
napełnił skromną, niską izbę,
gniew wstał spod woni tej
i tu przytomnych zjurzył.
Albowiem byli,

 których postępек niewiasty oburzył.

A to najbliżsi Jezusowi,

 ucznie i towarzysze.

Ich to kamienne słowa

padają w nagłą ciszę,

że — iluż biednych wspomóc

można by sumą tak dużą,

która

 w tej izbie

zbytku rozlana kałużą!

Że — nierozumna,

 marnotrawność czyni niewiasta.

I to ona, co grzeszyła jawnie

w murach tego samego miasta.

Nawet i tu obecni są,

 którzy ją z tego znają.

Gdy więc niewiastę ową

i jej uczynek

pod dachem tego łaja, co go zżerał trąd.

Szymona,
zanim go Jezus
czystym znów uczynił,
a Szymon w pomieszaniu
nie śmie,

choć gospodarzem jest,
nikogo uniewinnić ani winić,
toteż nie spieszy się
z naganą ani na obronę,
ażci sam Jezus rzecze im
(a lico ma

uradowane wraz i zasmucone):
„Przecż tej niewieście się uprzykrzacie?
Ona zna, nie wiedząca,
czego wy nie znacie.

Ubogich

dla waszych dobrych uczynków
zawsze macie ze sobą,
a mnie nie zawsze macie.
Onać to względem mnie
uczynek dobry w tej chwili popełniła:
ciało me,
najuboższego z ubogich,
martwego już teraz pomiędzy żywymi,
na pogrzeb

olejkiem wonnym namaściła.
Zaprawdę mówię wam,
gdziekolwiek opowiadana będzie

Ewangelia
po wszystkim świecie
i to, co uczyniła ta niewiasta,
na pamiątkę jej opowiadane będzie,
wiedzie”.

Niewiasto
z naczynkiem alabastrowym

w zanadrzu —

Niewiasto

w nieśmiałości swojej bezprzykładnie
śmiała —

Niewiasto

nie wymieniona z imienia,
pamiętana przez pokolenia —
Grzeszna niewiasto!

Matka osierocona,
właśnie ciebie przytulić chcę do łona,
bo ty jedna

na długo
przed Jego śmiercią
przyszłaś Mu z najtkliwszą posługą,
czując

(ty jedna tylko!),
że uczcić Go trzeba
tym,

w czym
nie ma śladu
wyrachowania,
co jest

w swej rozrzutności
bezcenne,
czego nie wyważy waga:

Miłość!

Miłość ze wszystkich innych
uczuć obrana, naga.

Taka,
na jaką matka się nie zdobędzie:
matka nie może

dziecka szykować do grobu.

„A to, co uczyniła,
powiadać będą na pamiątkę jej
wszędzie”.

Zapomnieć o tym
nie ma sposobu.
Gdy wynurzam się ze snu,
zapach olejków czuję wonnych,
ach, i tak bardzo jestem skłonna
myśleć,

że uczta u Szymona
trwa
jeszcze nie skończona.

CZUWANIE

Nie tylko ja,
każda z matek to zna:
gdy jasność dnia kończy się
i noc gdy zapada,
w dziecku budzi się strach.

Nie chce zasnąć
(boi się zgubić w snach!),
płaczem wybuchnąć gotowe
woła matki

i, głowę
wciskając pod jej ramię,
napiera się,

aby czym prędzej
wzięła je na ręce
i osłoniła sobą
przed tym,

co straszne,
co tuż-tuż,

a niewiadome!
Ileż to razy, Synku,
na mokre rzęsy,
na powieki drżące

kładłam Ci wargi moje,
lęki i płacz kojące.

Ile razy
do rana
nad posłaniem schylona
czuwałam.

Bezsenna,
z radością zawsze świeżą,
kołysałam u piersi
łagodnie,
pomaleńku,
Ciebie, Synku,
już zbawionego lęku,
słodko pogrążona we śnie,
bezpiecznego
w naszym rodzinnym
nazaretańskim domu.

O, jakże mi boleśnie
przywoływać wspomnienie
sprzed lat
teraz właśnie.

I to tutaj
w Jerozolimie,
gdzie nawet nie mam zwierzyć się komu,
gdy odłączona od Ciebie
noc spędzam samotnie
na trwożnych przeczuciach,
na przeczuciach złych.

Ostatnio

chadzasz co dzień
na Górę Oliwną
według zwyczaju z uczniami.
Ja w obcej izbie zostawiona sobie
z nastaniem zmroku

słucham
wyczulonym miłością słuchem
dalekich Twoich kroków.

W Twych krokach czytam,
co innym, uczniom,
musisz głośno w słowach powiedzieć,
by uczuć i serc ich doszło.

...Co z tego,
że usłysza,
iż dusza Twoja
„smutna aż do śmierci”.

Oni nie czują,
jak strachasz się
i tęsknisz w sobie.

...Zgoda. To są ludzie

Tobie bliscy.

Kochają Ciebie na swój sposób.

Zgoda.

Lecz w ich piersiach
nie ma mego serca!

...Moje serce?

Tyś go, Synu, poniechał.

Tyś je mnie zostawił.

Ale — czyś wiedział,

czyś Ty wiedział,

dzieciatko moje,

małe moje,

że będziesz krwawym potem krwawił?

O, jakże mogłeś, Synu,

na tę straszną

Godzinę Agonii Twojej

opuścić matkę własną!

Nie byłeś młodzieńcem,
gdy Jezus cię zawołał.
Nic zgola
nie jest wiadome,
coś robił,
czymeś był
do owej chwili,
prócz żeś rybaczył,
jak wszyscy tu nad wodami
bytujący.
A nazwał ciebie: Opoka, Piotr.
I rzekł,
że zbuduje, Piotrze, na tobie.
Ty, ludząc się,
nie dowierzałeś sobie.
To Chrystus był tym,
który
co do ciebie się nie ludził,
zlecając ci
bez obaw
Dzieło swoje,
aż do ostatnich dni ziemi,
i nas, ludzi,
którzy tę ziemię zamieszkujemy
W godzinie próby
zaparłeś Go się trzy razy.
Byłeś słaby, kłamliwy,
tchórz.
Cóż, Szymonie-Piotrze,
ty — to serce człowiecze,
najszczerwsze, najprawdziwsze
w ludzkiej swej ułomności.
Oprzeć się na nim

z niezachwianą pewnością
mógł
tylko Bóg.

TEN DRUGI

Na kamienny taras
Pałacu Sprawiedliwości

wypechnięci z ciemnicy
przed oblicze tłumu
stali
stykając się

skrępowanymi sznurem
ramionami

obaj — ubiczowani,

obaj — krwawolicy

zbrodniarz

i Ten,

co żadnej winy nie popełnił.

„Życie jednego z nich

daruję wam, ludzie —

rzekł Pilat — wybierajcie”.

U schodów tłum się welił

jak morze w czasie burzy.

Na śmierć

z dwu tych skazańców

który

zasłużył?

Ten,

co kradł,

kłamał,

gwałcił,

sprzeniewierzał,

o mord się otarł

w czasie swego tak niedługiego żywota,
a teraz

lży głośno wszystkim,
ze wszystkich szydzi,
bo na ich rękach
swych więzów nie widzi?

Źródła postępków jego znamy.

Postępki jego,
choć sprzeczne
z przykazań tablicami,
nie wywołują w nas lęku
będąc... ludzkimi czynami.

Natomiast —

niezrozumiały,
niewytłumaczoną trwogą napawający
jest — ten Drugi,
o sponiewieranym ciele,
milczący.

Przed Nim,

tym Drugim,
tłum broni się siłą nawyku,
zdumiewając Pilata
natarczywością krzyku:

„Ten pierwszy, Pilacie,
wszak wiesz:

to kość i krew nasza!

Ukrzyżuj Jezusa!

Nie nas!

Wypuść Barabasza!!”

Stałam tam

i słuchałam na poły nieżywa,
i wiedziałam,

I wiem: to prawda.

...Lecz jakże nieprawdziwa.

Wiedziałam,
 wiem —
 nie mogło być inaczej.
 Ale to wszystko czułam
 wbrew.
 I — nie godziłam się.

A teraz...
 teraz już wybaczam,
 teraz już przyjmę,
 teraz się zgodzę
 na wszystko,
 co On przyjął.
 Lecz jakżeś to zrobiła,
 że na Jego drodze
 stałaś
 mimo gęstwy tłumu,
 mimo wrzasku tłuszczy
 i mimo żołnierzy,
 co ci bronili podejść?
 Mogłabym niemal uwierzyć,
 że moja ręka
 tobą kierowała.
 Lecz nie.
 Ty sama,
 tyżeś, Weroniko,
 zwyczajnie pomyślała,
 że —
 jeśli krew po twarzy ścieka,
 a człowiek, który krwawi,
 ma skrepowane ręce
 i krwi sam otrzeć nie może,
 to trzeba wyręczyć człowieka.

Twoja chusta, Weroniko,
jest w ciemnościach świata
jak żagiel,
z dobrym wiatrem ustawiony
na łodzi ratowniczej,
gdy burza nadchodzi.

PIETA

Widzisz —
mówiłam —
Ludzie są dobrzy:
podnieśli Cię, Synu, wysoko.

Z wysokiego, wysokiego drewna,
gdy oczami wspierasz się o ziemię,
i na mnie wsparło się Twe oko.

Pamiętam —
Dzieckiem małym
chciałam Cię,
matka,
zamknąć w łonie —
a Tyś mi urósł
i królujesz teraz
w wielkiej cierniowej koronie.

To ludzie,
choć sami mali,
wzniesli Cię
i ukoronowali.

Myślałam:

Dziecko bez serca —
gdyś zgubił się nam w drodze
i znaleźliśmy Cię między kapłany
nad księgą w synagodze.

A oto —

bok Ci włóczęnią otwarli
i serce Twe widać,
jak krwawi.

Nie dziw się, Synu,
że matka oprawcom Twym
błogosławi.

Żeby nie ludzie,
nie grzeszni,
nic by nie zaszło w niebie:
nie poczęłabym,
nie urodziłabym
Ciebie.

I nie poznałabym, co to
matczyna radość
i boleść.

Taka to, Synu Boży,
o nas obojgu opowieść.

Z NIEWIERNYM TOMASZEM ROZMOWA

Wdzięcznam ci jest,
Tomaszu,
za twe słowa
ostrożnie odmierzone.

Za to,
żeś dociekliwy
rękę kładł
w otwartą boku ranę.
Wiem —
uczyniłeś tak,
nie, że miłości było ci brak,

lecz z jej nadmiaru.
Nie dla wątkości nadziei —
— dla jej ciężaru.

A teraz

powiedz:
gdyś głos ten poznał,
gdyś rany palcem dotykał,
co czułeś?

— Grozę.

Dziś jeszcze mnie przenika!
Nie śmierci groza,
groza Zmartwychwstania,
która się z grobów wylania!

O Maryjo!

Dotknąć
i, stwierdziwszy,
nie umrzeć z rozpacz, —
że się dotknęło...

Wiesz, co znaczy?

TO BYŁO DŁUGO POTEŃ

To było długo potem.

Opowiadali,
że stałyśmy tam:

ja,
moja siostra Maria Kleofasowa,
a także siostra Marty,

Maria,
ta,
co ją zwa z Magdali.

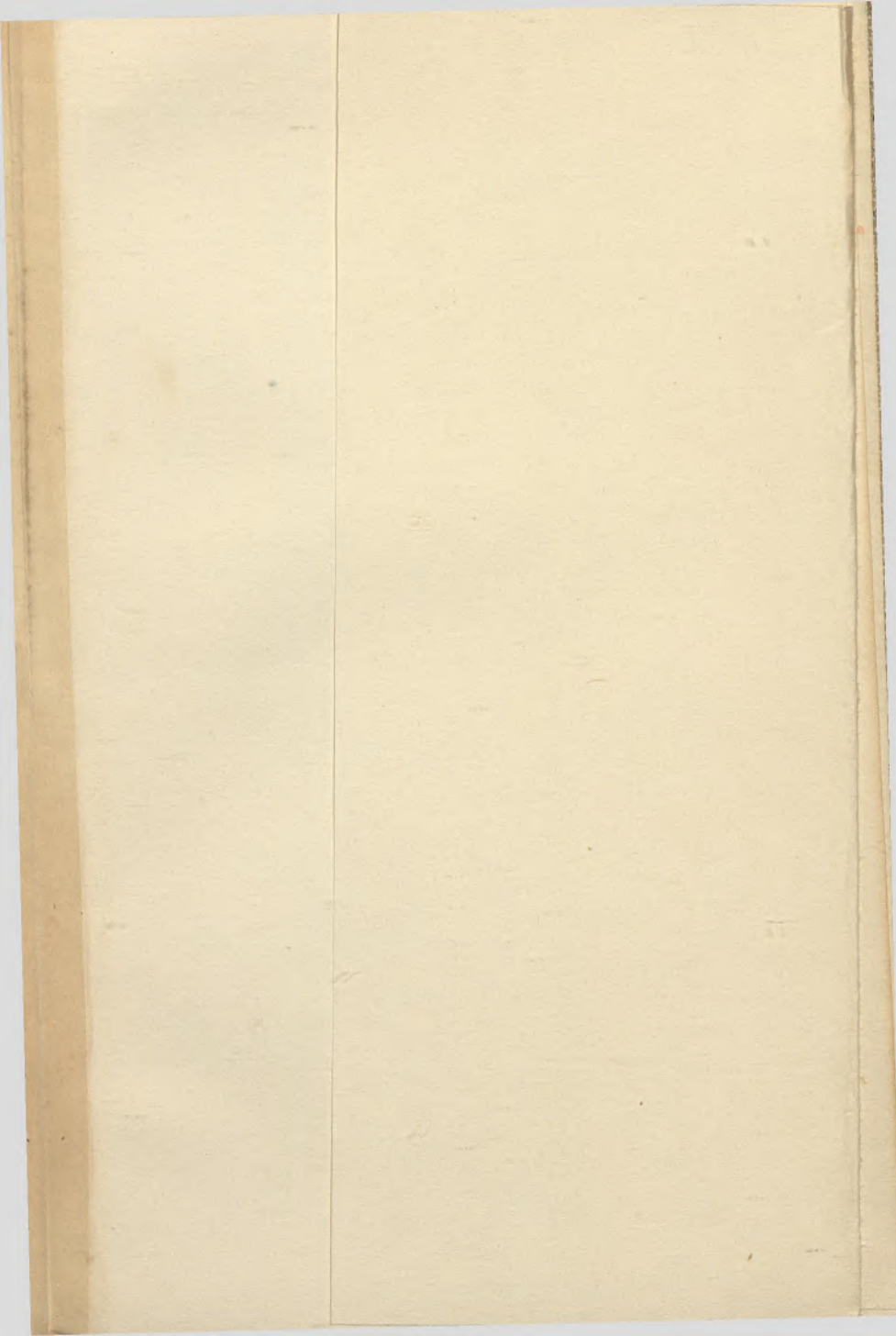
To było długo potem.
Uczniowie przypominali,
że z mroku
(...skąd — z mroku?
Z bardzo wysoka? Z wierzchołka krzyża?
Czy może
z mego, przez Ciebie, Boże,
na dno ciemności strąconego serca?)
wypływały na światło dnia
słowa:
„Niewiasto, oto Syn twój”.
Kogo mi wskazywały?
Długo potem
mówili mi, powtarzając:
„Jana” —
i jeszcze dodawali,
że uczniowi temu rzekł był:
„Oto matka twoja”
z myślą o mnie.

Długo potem:
teraz,
gdy wykonało się,
gdy do Ojca swojego powrócił,
jak było na początku
(ale nie zostawiając nikogo sierotami),
pojęłam Go:
Jesteście dla mnie wszyscy Janem.

Otoczona synami
dożywam w słońcu pogodnej starości.

Oto jak krzyż
moje życie uprościł.

Roma-Greccio 1959—60



Cena t. I/VI zł 350.--



1111 72
—

